



Bronisław Wildstein

część III z IV

Sygnatura notacji: **N0567**

Data urodzenia: **11.06.1952 r.**

Data nagrania: **09.04.2024 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Knurówiec, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 61 min część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 80 min,**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Ten okres jak Pan wspomina, tych ciągłych podróży, tego, że ten Pana dom był... To było coś niezwykłego, to było naprawdę... Ten czas, to był zupełnie niezwykły czas, takiego odrodzenia, entuzjazmu. Pamiętam go jako coś najpiękniejszego, jednej z najpiękniejszych w życiu rzeczy. Ten krótki okres. Ja dość krótko byłem... Oczywiście tam zacząłem... Później zacząłem tam, zrobiłem Biuletyn NZS-u, do którego pisywałem, a potem wyjechałem za granicę, o czym mogę osobno odpowiedzieć, ale... Więc stosunkowo niedługo, ale te kilka miesięcy to było coś zupełnie niezwykłego. Ja w ogóle myślę, że ten czas... On jest nazywany „karnawalem”. Mnie się nie podoba ta nazwa, biorąc pod uwagę rozmaite reminiscencje, bo to nie była zabawa. Czas karnawału to jest czas zawieszenia reguł i w tym sensie niby to podobne, ale zabawy, w celu zabawy, w celu zanurzenia się w chaosie. To nie było. To było odrodzenie, takie obywatelskie odrodzenie. Przecież cały czas sytuacja była taka, że wybuchały kolejne strajki, słuszne, bo oni mieli swoje partykularne uzasadnienia, swoje partykularne, ze wszech miar, uzasadnione żądania. A jednocześnie potem, jak przyjeżdżały te władze, mówiły, że nie można, bo, to rzeczywiście będzie chaos, no to się wycofywali. Nie pod presją, uznawali, że istnieje wyższa racja. Tak samo jak te punkty robotników, to przecież nie pieniądze tam były najważniejsze. Oni, zawsze zapominam, który to był... To był, wydaje mi się jakaś połowa sierpnia, 15, kiedy oni dostali wszystkie swoje żądania płacowe, kiedy robotnicy dostali i Wałęsa ogłosił koniec strajku, znaczy ci robotnicy ze stoczni. I wtedy te kobiety: Anna Walentynowicz, Alina Pieńkowska i inne tam, również Henryka Krzywonos zatrzymały tych robotników, mówiąc, że jeżeli my przestaniemy strajkować, to się rozsypie cały ruch, że trzeba, mamy być solidarni. Zresztą ta solidarność wtedy też funkcjonowała, bo ten wewnętrzny Biuletyn, który robili Krzysiek Wyszowski i Mariusz Wilk, oni robili ten Biuletyn. Pierwszy zainicjował go Krzysiek Wyszowski, ale potem Mariusz Wilk także był w tym. Też to nazwali „Solidarność”, że w imię solidarności trzeba kontynuować ten strajk i ten strajk był

kontynuowany, właśnie w imię interesu powszechnego. Więc to takie powszechne odrodzenie tego republikańskiego ducha to było coś niezwykłego. Ja sobie zdaję sprawę, że to nie mogło trwać za długo. Ludzie normalnie funkcjonują, wracają do swoich partykularnych spraw. Ale to, że to mogło tak długo trwać, że owocowało tym nieprawdopodobnym ruchem przy ogromnym ryzyku, bo teraz oczywiście to, że: „no, był stan wojenny”, ale nikt nie wiedział, czym to się może skończyć, czy nie wejdą Sowieci? Wszyscy mieli w pamięci Budapeszt i Czechosłowację, cholera wie, co. Oni bez przerwy tam manifestowali na granicy. To było podjęcie ogromnego ryzyka ze strony tych ludzi, którzy się w to angażowali. Po drodze była Bydgoszcz. Zresztą to było już takie... To był taki moment, wydaje mi się, gdzie Wałęsa w dużej mierze zablokował ten wigor tego ruchu. Samowładnie zadecydował o tym, że tego strajku nie będzie. Tą energią, która już była gotowa, zablokował. Ta opowieść o tym, że wtedy nie wiadomo co by się zdarzyło... Co by się innego zdarzyło? Mogliby stan wojenny ogłosić, które ogłosili tak czy siak, tylko wtedy byli dużo mniej przygotowani do tego, a społeczeństwo było bardziej nastawione na opór, dużo bardziej. Więc to było z każdego punktu widzenia fundamentalnym błędem, był naruszeniem jakichkolwiek norm demokracji, sposobu działania, bo tam była wybrana grupa, wałęsa nie miał praw do tego, co zrobił. Zresztą zaszantażował tych wszystkich ludzi, się zgodzili i Gwiazda, i inni, dlatego że on zaszantażował, że inaczej stworzy swoją własną Solidarność. A biorąc pod uwagę jego rolę i jego pozycję, to rzeczywiście było możliwe. A pęknięcie Solidarności wtedy to byłoby straszne. Także to, że się zgodzili na jego ten dyktat wtedy Ci..., przede wszystkim „Gwiazdozbiór”, który był wtedy silny: Anna Walentynowicz i Andrzej. Mówię Andrzej no bo myśmy się oczywiście znali. To była Bydgoszcz, ale już mnie wtedy w Polsce już nie było, to obserwowałem z zewnątrz. No właśnie, jakby Pan odpowiedział dlaczego nie było Pana wtedy w Polsce. Co się wydarzyło? Dobra, z cyklu opowieści niepedagogicznych. No więc myśmy dostali, ja składałem wcześniej podania o paszport i regularnie odmawiano mi, ale proponowano mi paszport w jedną stronę. No to ja odmawiałem. No i sobie w porządku, tak było. I w pewnym momencie potem były te wszystkie wydarzenia i nagle zostałem wezwany do SB-ecji, no nie do SB-ecji, ale formalnie do biura paszportowego, na jedno wychodzi. I powiedzieli, że ponieważ składałem, to dają mi odpowiedzi. Niby mi dali odmowne odpowiedzi, a tutaj dali pozytywną mnie i mojej żonie. No to myśmy wzięli ten paszport, no dobra, to rzadkie, no ale taki byłem trochę na rozdrożu, to co mamy robić? Oczywiście w ogóle nie myśleliśmy o żadnej emigracji. Mówię, że odmawiałem jakiegokolwiek za każdym razem paszportu w jedną stronę. Ale wtedy tak: po pierwsze w Solidarności nie za bardzo co mogłem robić, bo zostałem pogłębiony przez Zawadę. NZS już normalnie zaczął działać, a ja już byłem jednak po tych studiach, a myśmy się trzymali rygorystycznie, że w NZS-ie działają studenci, a nie tak jak po pierwszym zawale działacze studenckie w SZSP. No, to tak trochę z zewnątrz różne rzeczy mogłem robić: Biuletyn NZS-u mogłem robić, to lub owo mogłbym robić, ale to jednak było takie... I dostałem ten paszport, rzadkie dobro i pamiętam, że wtedy Adam Michnik mówi: „słuchaj, są takie ważne... pojechać tam, dużo można zrobić, mamy tam... jak byś pojechał, to na pewno by to wzmocniło. Jest parę takich inicjatyw, na które warto pojechać”. Zbyszek Romaszewski powiedział mi, że jest zjazd tych Komitetów Helsińskich. Wtedy był w Madrycie. Procedura uzyskiwania wiz nie była taka prosta, bo się jechało, składało się podanie, dostawało się promesę wizy jeżeli przyjmowali to podanie, trzeba było odczekać jakiś czas i potem dopiero się przyjeżdżało i wbijali te wizy do paszportu. Więc myśmy mieli tam tych parę promes wiz, ale nie mieliśmy jeszcze wiz. No i nasi przyjaciele dowiedzieli się, że bierzemy pod uwagę wyjazd, należało w ten sposób powiedzieć i zorganizowali nam taką imprezę pożegnalną. To taka zabawa niby miała być. Myśmy nie mieli jeszcze żadnych, nie mieliśmy tych wiz, nie mieliśmy tego... No i to było w Biechanowie. U nota bene w mieszkaniu, które załatwił nam Janek Rokita, młody adept, którego przyjęliśmy, bardzo chciał mieć dobre z nami relacje.

No i przyjechali jeszcze nasi przyjaciele z Wrocławia i jeszcze skądś tam. Myśmy takie towarzyskie życie pędzili. No i jak zwykle wtedy na imprezie zabrakło w pewnym sensie alkoholu i jak zwykle wtedy szło się na tak zwaną melinę, bo można było kupić, to jeszcze weekend był, nie można było gdzie indziej pójść, późno, były sklepy z alkoholem zamknięte. I to był po prostu zbieg okoliczności, złośliwość. Poszli ludzie, nota bene śmieszne jakby się patrzyło, m.in. Kostek Miodowicz, nieżyjący już, po wódkę te parę osób i ktoś im złośliwie pokazał willę komendanta milicji na Podgórze, że tam jest melina. I oni poszli zapytać o wódkę, a tam akurat się bawili ci gliniarze, bo to było, nie pamiętam, z soboty na niedzielę chyba. Czas imprez. I oni poszli zapytać o wódkę i dostali po pysku, i wrócili, i powiedzieli, że byliśmy na melinie i nas pobili. Rzeczywiście wyglądali tacy... No to ja się trochę zirytowałem, uznałem, że to tak nie można tego zostawić. Zebrałem paru kolegów, takich, którzy się nadawali do tego i poszliśmy dochodzić sprawiedliwości na tej melinie. Ale dość prędko zorientowałem się, że to nie jest melina, no ale już w trakcie była w toku ta cała... bo oni mieli pałki, gaz... No i później wycofaliśmy się stamtąd, a oni wezwali, zaczęli nas łapać, jakieś posiłki. Ja byłem na dworcu w Biezanowie, tam doszło znowu do kawałka bójki. Nieistotne, ja wróciłem, wiedziałem, że już dzieje się niedobrze, więc nie wracałem na imprezę, tylko wróciłem do siebie do domu. Moja żona, która troszkę mnie znała, więc jak mnie nie było dłużej, to też wróciła do domu. Samodzielnie. A potem przyjechali do nas znajomi, że niedługo będą nas szukali, bo okazało się, że ci gliniarze złapali tam paru z tej imprezy, spuścili im łomot, znaleźli u nich jakieś zaproszenie z adresem, poszli tam znowu doszło do jakiejś awantury, spuścili łomot biednemu Ryškowi Majdzikowi z Solidarności, naszemu przyjacielowi. No i że już zaraz będą po nas, przyjdą. No a ja wiedziałem, że jednak tam to była ostra bójka. Ja wiedziałem, że paru z tych milicjantów jest „uszkodzonych” tak poważnie. Jednym rozbiłem na Biezanowie szybę, wyrzuciłem go przez... Nie na piętrze, tylko na parterze, ale wyrzuciłem go przez tą szybę. Nieistotne, w każdym razie byli poturbowani. No to już są normalne przestępstwa pospolite i za to się, za pobicia i tego to się idzie siedzieć na lata. O ile kalkulowałem ewentualnie za polityczne, to nie chciałem siedzieć za przestępstwa pospolite. No i przysnęliśmy. Właśnie zawieźli nas przyjaciele małym fiatem na dworzec w Katowicach, gdzie jechał pociąg do Wiednia z Warszawy. Mówiłem, tam nie trzeba było wiz. Jeszcze umundurowany, żeby nie było widać siniaków. Przejechaliśmy się. Nagle odnaleźliśmy się we Wiedniu. No i zaczęła się taka nasza odyseja. Jeździliśmy po Europie, ja pracowałem doraźnie, fizycznie, w różnych miejscach, ale jednocześnie organizowaliśmy od razu dla Solidarności różne rzeczy i dla NZS-u. Wyjeżdżacie w listopadzie 1980 roku. Tak, w połowie listopada, czy w drugiej połowie... Nieważne, no, powiedzmy, w połowie listopada 1980 roku. I potem jesteśmy w Wiedniu. Potem jedziemy na przyznanie Nagrody Nobla Miłoszowi do Sztokholmu. Potem jedziemy do Niemiec, potem do Francji. I tak jeździmy. A jednocześnie ja mam stały kontakt, bo ta sprawa się ciągnie, bo oni jednak chcą dojść do tego, wytoczyć proces. Ale głównie mnie łapią, a mnie nie ma i w związku z tym nie za bardzo wiadomo... Oni się później już domyślają kto to jest, ale nikt nie zaświadczył. Więc ja czekam, żeby ta sprawa wreszcie przycichła. I wreszcie gdzieś tak w lecie, późnym latem czy jesienią 1981 roku sprawa się zamyka polubownie, oni płacą coś tamtego... Zwłaszcza, że oni też tam się zachowali, pobili kilku ludzi i to ostro pobili, także nie nic... dobra, sprawę zamykają. Ja już mogę sobie wracać, niby. No ale jeszcze jakby tam, jeszcze jestem na tym Zachodzie i przyjeżdża pamiętam Grzesiek Boguta, jest już przełom listopada i grudnia. Grzesiek Boguta to był też taki z opozycji, wtedy był szefem „Nowej”, tego wydawnictwa i mówi: „co Ty robisz? My tu w Polsce komunę dorzynamy, budujemy nową Polskę, a Ty się byczysz na Zachodzie. Wstyd w ogóle...”. Ja się zgodziłem ze wstydem, niby coś organizuje, no ale to już właściwie, to już się zaczyna dziać samoczynnie. Niby tam jakieś kontakty nawiązałem, jakoś tam żeśmy działali, no ale jednak to, to trzeba wracać do Polski. No i zaczynamy jak zwykle wracać, czyli jak zwykle autostopem,

bo nie mam pieniędzy. Wprawdzie zarabiam pieniądze na życie, no ale to są takie pieniądze, no... No i jedziemy przez Holandię i w Bloemendaal, czyli takim przedmieściu Harlemu zatrzymujemy się. Tu dość często tam nocują Ci, którzy nas również biorą tutaj, u takich projektantów ogrodu. Projektanta ogrodu takich japońskich ogrodów. Zatrzymujemy się i on nas zaprasza i śpimy. Mamy zamiar jechać dalej, ale on nas rano, pamiętam się budzimy i mówi, że jakiś stan wyjątkowy w Polsce, zamknęli Gierka i ekstremistów z Gdańska. No i my nie wiemy jeszcze przez kilka dni, usiłujemy się dowiedzieć. Potem już wiemy, co jest... Nawet nie wiemy, myślimy, że jest dużo gorzej. I to nie znaczy, że stan wojenny był miłą rzeczą, le mi się wydawało, że kiedy ja usłyszałem, jak Jaruzelski powiedział o zabitych górnikach z Wujka, to ja myślałem, że tam zabito bez porównania więcej ludzi, bo byłem przyzwyczajony do tego, że jak zabito tych ludzi na Wybrzeżu, to nic się nie mówiło, albo się mówiło w jakiejś zupełnie minimalnej ilości, więc uznałem, że to jest „pars pro toto”, że to jest taka symboliczna kwota, żeby powiedzieć, że zabijamy, żeby... W każdym razie z Holandii mam wizy do Niemiec, więc jadę do Niemiec. Tam jeżdżę po... mnie zapraszają, więc też jeżdżę. To też doświadczenie niesamowite było. Wtedy to już było takie charakterystyczne, bo z jednej strony w sensie ekonomicznym to ci Niemcy takim sąsiedzkim zachowują się przyzwoicie, organizują paczki dla Polski z pomocą. W sensie politycznym katastrofa. Te główne pisma, to co wypisują „Spiegel”, „Stern”, dzienniki. Ręce opadają, że takie, że nieomal z taką ulgą, że wreszcie spokój panuje w Warszawie. Mam Pan do czynienia z tą lewicową częścią... Tak, ja wtedy dostaję na przykład zaproszenie, ale to było bardziej generalne. Dostaję zaproszenie, ja jeżdżę, zapraszają mnie. Jeżdżę po uniwersytetach i zawsze zapraszają wtedy jakiegoś przedstawiciela ambasady, z którym ja się tam kłócę. I pamiętam, zaprosili, jest młodzieżówka SPD, czyli tej socjaldemokracji niemieckiej. Jusos się nazywa. Oni mnie zaprosili na swój krajowy zjazd. Zaprosiła mnie część. Ja nie wiedziałem. Przyjechałem tam, a tu okazuje się, że nie chcą mnie wpuścić, bo inni nie chcą mnie wpuścić, tamci w ogóle... Wreszcie przepychali mnie i tam wygłosiłem swój tekst. No ale to pokazuje jak to było. Do teraz pamiętam te teksty w „Spiegel’u”, takie zdjęcie pamiętam... Wtedy wyciągali, że w Salwadorze są zabijani ludzie, że w ogóle... Pamiętam takie właśnie zdjęcie trupów w Salwadorze i zdjęcie kolejki w Polsce, takiej małej kolejki i taki ironiczny napis: „A przecież w Polsce jest gorzej”. Coś takiego. No ale wtedy już wiem, że do Polski raczej nie mogę wrócić, bo wróciłbym do więzienia, bo przecież mnie wypuścili 1 września wbrew ówczesnemu prawu, normom prawa. Dali paszport wbrew temu, bo nie można komuś, kto ma sankcję, wtedy nie można było dawać paszportu. Więc znowu wylądowanie w więzieniu mi się nie uśmiechało. Zresztą zacząłem myśleć już by coś bardzo konkretnego robić, oprócz tego, że będę komiwojażerem tej Polskiej sprawy, że będę tym speakerem, który będzie coś tam ogłaszał i mówił i tam się ewentualnie spierał. Przyszła mi do głowy, już pismo przyszło mi wtedy do głowy i wtedy dzwoniłem się z Mirkiem Chojeckim, który był w Paryżu i uznaliśmy, że właśnie zrobimy pismo. On głównie organizował i ja przyjechałem w lutym do Paryża, no i tam już zaczęła się moja, już taki rozdział. Rozdział emigracyjnego życia, bo tam robiłem, byłem redaktorem naczelnym tego „Kontakt”. To był miesięcznik emigracyjny, ale który nie był tylko miesięcznikiem, to był taki również ośrodek, zarówno pomocy dla Polski, jak i organizowania rozmaitych inicjatyw, jak i integracji, współpracy z różnymi ośrodkami opozycyjnymi z krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Myśmy bardzo dbali o to, mieliśmy ze wszystkimi, ze wszystkimi z tych krajów kontakty. I ja tam zaprosiłem do pracy Jurka Targalskiego, który też przyjechał do Paryża dwa lata później. On był, on świętej pamięci, to taki bardzo, niezwykle taki erudyta, poliglota o ogromnej wiedzy na temat tych krajów. I on redagował, zaprosiłem go, żeby robił taki dział „z obozu” i on robił go, czyli właśnie poświęcony tym krajom. Mieliśmy stałe kontakty. Zresztą mówię jeszcze raz, to nie było tylko pismo. Pismo było tylko takim wyrazem naszej działalności. No i byłem tym naczelnym i byłem w tym do 1987 roku. Potem się rozeszłem z Mirkiem Chojeckim

kim. Nasze drogi się rozeszły, ja odszedłem z „Kontaktu” i zacząłem pracować w Wolnej Europie, tam jako korespondent paryski do początku 1990 roku, kiedy dostałem, zresztą wcześniej dostałem propozycję zostania szefem radia w Krakowie, Rozgłośni Krakowskiej Polskiego Radia. Nie było prywatnych radiostacji wtedy. Ja już od lata wiedziałem, od lata 1989 roku wiedziałem, że do Polski wrócę. Wiedziałem, że chcę wrócić, ale nie mamy pieniędzy, nie mamy mieszkania, to takie.. wrócić do matki i powiedzieć: „Mamusiu, synek wrócił, właśnie wprowadzi się do Ciebie z żoną i dwójką dzieci”. To trochę takie było... Więc jakąś pracę choćby, to też nie jest, więc dostałem tą propozycję wtedy, zabawne, od Krzysztofa Kozłowskiego i się zgodziłem na to. I z początkiem 1990 roku przyjechałem do Krakowa i zacząłem tą robotę. A Iwona, moja żona, tak naprawdę dobiła do mnie za dwa lata, bo ona tam była urządzona, w tym w Paryżu. Jakoś musieliśmy się urządzić, ona też miała pracę, jest psychologiem, defektologiem i wróciła dopiero po dwóch latach. To znaczy myśmy jeździli, oczywiście, kontaktowali się. Czym dla pana był ten Paryż i jak tam się odnaleźliście? Od takiego ujęcia miasta i ludzi, jak to było? Paryż to dla mnie było bardzo mityczne miasto. Dla nas wszystkich było takim mistycznym miastem. Znałem je z przekazów kulturowych, literackich, filmowych, z plastyki, malarstwa. W miarę dobrze nieomal, można powiedzieć, odnajdywałem się, jak przyjechałem. Pamiętam jak wjeżdżaliśmy do Paryża przez most Pont Mirabeau, taki most Mirabeau. Przypomniałem sobie Apollinaira. W każdym razie to było miasto niezwykle, z tym, że myśmy wtedy, kiedyśmy przyjechali w tym lutym 1982 roku to przyjechaliśmy do roboty konkretnej. Przyjechaliśmy po to, żeby pomagać Polsce, opozycji, organizować... Ja wtedy, na początku nie wiedzieliśmy, jak się to przetoczy, ale potem zrobiłem złe rozpoznanie. Na szczęście moja diagnoza była niewłaściwa. Bo mi się wydawało, że po tej pacyfikacji to, że czerwoni będą rządzić dłużej. To znaczy, że znowu będzie taki... Oczywiście wiedziałem, że ta komuna się kiedyś zawali, ale myślałem, że to nie wiadomo, 20, 30 lat, kolejny taki etap, a więc już kiedy ona się zawali, to albo nie będę żył, albo w sensie personalnym to nie będzie miało dla mnie wpływu. Więc muszę się zdecydować na coś robienie. Stąd ten pomysł pisma, żeby coś takiego trwałego, ośrodka organizacyjnego. Zresztą nawet na te kilka lat to miało znaczenie, myślę, pozytywne. Więc głównie nasza robota sprowadzała się do tego. I to głównie to było getto polskie, to jednak było, żyłem w getcie polskim. Bo tak: byłem nastawiony na sprawy polskie, bo pracowałem z Polakami, a jeśli z kimś innym, to tylko w tym celu, żeby te polskie sprawy załatwiać. W związku z tym te moje kontakty i życie francuskie było bardzo umowne i takie, mówię jeszcze raz, żyłem tam w „szklanej bańce”, w getcie polskim. To powodowało, że ja bardzo ten Paryż lubiłem, ale to było, ciągle to był taki niezwykle malowniczy, obcy świat. Bardzo lubiłem spacerować, jak mi się robiło moment wolnego, to się włóczyłem po Paryżu. Tam zaglądałem do kafejek, poznawałem jakichś ludzi, rozmawiałem z nimi, ale to wszystko było takie... To był świat z którym nie byłem głębiej i nie mogłem być głębiej związany. Bo za ten świat nie byłem odpowiedzialny, ten świat mnie nie wiązał mocniej. To nie była moja wspólnota. Ja oczywiście lubiłem Paryż, życzyłem jak najlepiej Francuzom. Obserwować, ciekawiło mnie to wszystko, ale to była relacja obserwatora, a nie uczestnika. I tak musiało być. No bo niby z jakiej racji ja inaczej sobie mógł coś zrobić? Stałem się Paryżaninem. Francuzem zresztą jak się nie urodzi człowiek we Francji, to jest trudna sprawa, myślę, bardzo nawet. Nie myślę, wiem to, ale Paryżanin to jest coś innego. Paryżanin wchłania, więc w Paryżu zmieniałem różne miejsca mieszkania. Tam zresztą zbudowaliśmy sami mieszkanie na alei 82... Tym sensie, że wynajęliśmy takie w stanie zupełnej ruiny. Zresztą dzięki temu wynajęliśmy. To jest coś, co wszyscy, nie wiem, czy ono istnieje, wtedy to wszyscy wiedzieli, gdzie dokładnie. Prawo z ,48 roku, które powoduje, że jak się wynajmuje ruinę i się ją doprowadza do jakiegoś funkcjonowania, to nie można człowieka z niej wyrzucić i nie można poza stawkę inflacyjną podwyżki zrobić. Także mieliśmy w środku Paryża tanie mieszkanie. Po to, żeby je wynająć, musimy zapłacić łapówkę, bo to nieoficjalne, temu właścicielowi.

Ale i tak stało, więc wynajął nam. Potem płaciliśmy mu. Jeździłem po nim [Paryżu], z różnych powodów, miejsce pracy mi się zmieniało. Znam bardzo dobrze Paryż, znam ciągle chyba. Francuzi odnosili się entuzjastycznie. To było coś niezwykłego. Francuzi byli bardzo przyjęci, pozytywnie tym, co się zdarzyło w Polsce, z Solidarnością. To było bardzo interesujące, że pierwsza manifestacja po wprowadzeniu stanu wojennego, mnie jeszcze wtedy nie było w Paryżu, do której wezwały związki zawodowe, poza CGT, tym komunistycznym związkiem zawodowym, ale wszystkie inne wezwały. CGT jest największy, zresztą część CGT się do tego dołączyła, mimo tego, że centrala nie chciała. To była gigantyczna manifestacja. To było bardzo charakterystyczne dla władz francuskich, bo wtedy był prezydentem Mitterrand. Premierem był chyba Mauroy, ale minister spraw zagranicznych nazywał się Cheysson i na pytanie, co zrobi Francja po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, powiedział: „naturalnie nic”. To było zrozumiane. Ale to było charakterystyczne dla Mitterranda, też się nie odezwał. Potem była ta ogromna manifestacja, naprawdę, takiej której Paryż nie znał od 1968 roku. Setki tysięcy ludzi, solidarni z Solidarnością. I wtedy Mitterrand powiedział: „mój minister Spraw Zagranicznych, to niewiele brakowało, a doprowadziłby mnie do niechcianego samobójstwa, bo go liłem się właśnie brzytwą, jak usłyszałem, co powiedział, to niewiele brakowało, a bym sobie gardło poderznął. Oczywiście my protestujemy fundamentalnie...”. Ale potrzebował na to parę dni, żeby sobie to uzmysłowić, no ale to typowe dla niego. No i rozejrzął się... Więc to była presja oddolna. I to była presja ze strony wszystkich grup społecznych – lewicy, ale i prawicy. Był taki dowcip wtedy, kursował w naszym środowisku, nie wiem, kto go wymyślił, ale dobry: dlaczego lubią Solidarność we Francji? We Francji lewica ją lubi, bo jest robotnicza, a prawica ją lubi, bo jest katolicka i narodowa. A dlaczego w Anglii nie lubią Solidarności? Lewica jej nie lubi, bo jest katolicka i narodowa, a prawica ich nie lubi, bo jest robotnicza. No więc to trochę... Oczywiście to nieprawda, że nie lubiła nas Anglia, ale była różnica mocna. Francja była takim ośrodkiem wyjątkowo. I to był jednocześnie taki moment rozliczania się lewicy francuskiej ze sobą. On się zaczął dużo wcześniej, on się zaczął jeszcze w 1956 roku, potem był taki istotny moment, to był 1968 rok, gdzie jednak ta kontestacja była również. Partia komunistyczna nie popierała tych ruchów kontestacyjnych, które były wymierzone również w ten establishment każdy, więc również ten partyjny, anarchizowały. Potem było, we Francji ogromne wrażenie zrobił „Archipelag Gułag” Sołżenicyna. On wszędzie zrobił wrażenie, ale to, jakie we Francji zrobił, w reakcjach tych najgłośniejszych postaci życia publicznego. Francja była gotowa, w ogóle to jest sprawa głębsza. Lewica Zachodnia była, z powodu Solidarności głównie, była gotowa rozliczyć się ze sobą tak do imentu, a nie rozliczyła się, bo komunizm upadł. Bo ten komunizm był taką zmorą, którą pokazywał... Można powiedzieć: „no nie, to niby nie marksizm...”. No dobrze, ale proszę bardzo, do czego odwołują się robotnicy? Co jest paliwem napędowym obywatelskiego sprzeciwu? Nie marksizm, nie żadne lewicowe ideały, ale właśnie religia, ale narodowe idee. To wszystko trafiało jednak, to wszystko zmieniało sposób widzenia. A upadek komunizmu spowodował, że wycofała się lewica z tego rozliczenia. A trzeba zdać sobie sprawę, mówię „lewica” w szerokim rozumieniu, bo lewica jednak w ogromnej mierze skolonizowała mentalnie Zachód, zwłaszcza zachodnią Europę. To teraz widać bardzo mocno, ale wtedy już też, prawda. To potem to jaki był protest w 1996 roku, przeciwko „Czarnej księdze komunizmu”, to jest zdumiewające. Bo gdyby ta książka, jestem pewny, ukazała się pod koniec lat 1980-tych, nie byłoby protestu. Myśmy mówili to samo na spotkaniach rozmaitych lewicowych grup, gdzie byliśmy zapraszani, ja jeździłem tam bez przerwy. Wszędzie byłem i wszędzie w Europie mówię, chociaż zapraszali mnie również trockiści do Japonii, ale odmówiłem, uznałem, że ta afiliacja trockistowska jest już za daleko idąca. Ale na Jamajce to było coś innego. Na Jamajce to nie żadeni trockiści mnie nie zapraszali, tylko był zjazd przyzwoity rozmaitych młodzieżowych organizacji, które generalnie kontestowały komunizm. Ale w Turynie na przykład, gdzie

głównie to komuniści włoscy to organizowali, a ja grzmiałem na komunizm, między innymi jawnie. To było, ta reakcja przekładała się również na normalne zachowanie. Oni organizowali pomoc, bardzo dużą pomoc finansową dla Polski. Zresztą ta pomoc była spora wszędzie, ale zwłaszcza w pierwszym okresie. Jak ludzie słyszeli, Francuzi słyszeli jak ktoś mówi po polsku, to podchodzili, pytali, czy nie można pomóc im, czy personalnie, czy to... Nam początkowo załatwiono mieszkanie w akademiku... Potem, jak się poznaliśmy, Francuzi nam dali mieszkanie swoje na jakiś czas, zanim sobie nie zbudowali, także to bardzo nam pomogło. Ale potem się zaczęło normalne życie. Ja pracowałem dorywczo, żeby ten „Kontakt” robić. Byłem stróżem nocnym, jakieś ulotki roznosił, Bóg wie co tam. No i tak z trudem koniec z końcem wiązali. No ale to było we Francji, z trudem to jak na warunki polskie i tak było dobrze. I dopiero jak się rozstałem z „Kontaktem” i zacząłem pracować w Wolnej Europie, no to wtedy zacząłem być panisko. Zacząłem zarabiać zgodnie ze standardami francuskimi. To już zupełnie co innego. Bo my tam w „Kontakcie” później zaczęliśmy sobie trochę płacić, no ale to były takie raczej zapomogi. Tyle ile nam zostawało, ile byśmy mieli tych potrzeb. A tutaj... Zatrzymajmy się chwile przy „Kontakcie”, tej kwestii. Pan mówił o takiej organizacji szerszej, bo tam było też i zbieranie pieniędzy, ale też sprzętu, powielaczy, siatka przerzutowa, czyli tego było, tej organizacji stałego kontaktu z Polską. No, ważnego elementu takiego wspierania jednak. Tak, ja myślę, że to było istotne. No bo myśmy właśnie zbierali te pieniądze, dostawaliśmy z Zachodu sporo pieniędzy. I myśmy przekazywali zarówno pieniądze, jak i sprzęt, przede wszystkim sprzęt poligraficzny, czasami jakieś takie walkie-talkie, czy jakieś takie, żeby w razie czego móc ewentualnie... Ale generalnie to był sprzęt poligraficzny. Więc oczywiście mieliśmy stały kontakt. Zresztą mieliśmy stały kontakt, bo myśmy dostawali teksty i chcieliśmy je dostawać. Miałem stały kontakt z autorami z Polski. Im płaciliśmy, bo naszym autorom zachodnim nie płaciliśmy, nie stać nas było, ale tam płaciliśmy. Płaciliśmy nieduże pieniądze, które w Polsce były dużymi pieniędzmi. No i trzeba było mieć kontakty przerzutowe i w związku z tym mieliśmy stałe te układy. Poza tym myśmy dostawali teksty z Polski, ale potem je szmuglowaliśmy tam również te wszystkie nasze publikacje. Na początku „Kontakt” był taki duży, myśmy robili małą wersję, potem zdecydowaliśmy się, że go zredukujemy, żeby było łatwiej, żeby nie wydawać dwóch wersji, w takiej mniejszej wersji łatwiej go było wysyłać. No ale również paryską „Kulturę”, a również „Polonia Book Fund”, „Puls”, ale inne druki i inne rzeczy, to co ludzie chcieli. Zagraniczne, książki, teksty. Czekano na sprzęt od Was. Tak, tak. Wszystko to robiliśmy. Dostawaliśmy zamówienia. Potem zresztą to się nawet... Ja byłem przedstawicielem jakiś czas Komitetu Helsińskiego na Zachodzie, Polskiego Komitetu Helsińskiego na Zachodzie i organizowałem pieniądze dla nich. Pamiętam swoją rozmowę z niejakim George’em Sorosem na ten temat. I dostałem od niego pieniądze. Dla niego żadne, dla nas bardzo duże, dla ludzi w Polsce. To było już wcześniej, nie pamiętam, ale chyba 10 tys. dolarów. Więc mówię, te relacje... Poza tym myśmy chcieli wiedzieć, co jest w Polsce po to, żeby móc pisać. Dostawaliśmy z Polski nieomal całość, mam wrażenie, prasy podziemnej. Ja tyle się naczałem, zresztą oczy sobie mocno zepsułem, bo czytałem to masowo. Byłem jednym z większych specjalistów, bo czytałem tego kilka godzin dziennie, jakieś przewalałem takie różne, więc tego było naprawdę... Tych relacji... To była praca, która się nigdy nie kończyła... To szukanie... Zawsze można było to lepiej robić, to nie było takie... Potem, kiedy zacząłem pracować w Wolnej Europie, to byłem zdumiony. Szedłem do pracy, robiłem swoje teksty, audycje, kończyłem, miałem spokój. To ja w ogóle takiej sytuacji nie znałem. No, ale dzięki temu wtedy napisałem, zadebiutowałem, zawsze chciałem i zawsze byłem pisarzem, uznawałem się za pisarza, tylko nie miałem czasu pisać. Wtedy pisałem niby, ale zbyt to było dorywcze, żeby owocować jakimiś konkretnymi. Wtedy właśnie napisałem swoją pierwszą powieść, jako wtedy pracownik Wolnej Europy. I też wtedy doszło do kontaktów z „Kulturą”, Giedroyciem? Nie, z „Kulturą” i Giedroyciem to myśmy się poznali w 1981 roku jeszcze, jak tylko przy-

jechałem do Paryża, to od razu się odezwałem do Giedroycia. Wtedy jeszcze pamiętam, to było niezwykle, Giedroyc przyjechał do nas. Pamiętam przyjechał do nas ze swojej siedziby, w Maisons-Laffitte, przyjechał do Paryża i umówił się, to był naprawdę wyraz taki, jestem dumny, przyjechał specjalnie, żeby spotkać się ze mną i z moją żoną. Gare Saint-Lazare, w takiej kawiarni, która się nazywała chyba po prostu Cafe Saint-Lazare, żeśmy się spotkali i rozmawiali. To było lato 1981 roku. Potem oczywiście byłem dorywczo, ale potem, kiedy tylko przyjechałem do Paryża, to od razu zaczęliśmy się kontaktować. Myśmy stale mieli kontakty. Zresztą ja chciałem uniknąć jakiegokolwiek napięcia od razu, zresztą ja i Mirek skontaktowaliśmy się z Giedroyciem, że chcemy robić pismo. Powiedział: „bardzo dobry pomysł. Uważam, że wasza emigracja powinna mieć swoje pismo. Nasze jest trochę inne, tego...”. I to było absolutnie... W jednym z pierwszych numerów robiłem taki duży wywiad o emigracji, z Wojtkiem Sikorą wspólnie zrobiliśmy wywiad z Giedroyciem właśnie i Herling-Grudzińskim, taki bardzo obfity, także myśmy stale mieli dobre relacje z nimi. Giedroyc był taką taką osobą... Jak słyszałem, że ktoś mówił, co z Polski przyjechał: „a ja się przyjaźnię...”, to mnie pusty śmiech ogarniał. To był człowiek niesłychanie dobrze zorganizowany, ale w związku z tym był taki skoordynowany, na wszystko miał czas, na takie życie, takie luźne, towarzyskie, to raczej sobie czasu nie szukał. Wszystko było podporządkowane jego misji, takiej obywatelskiej. To było oczywiste. Był taki chłodny. On był bardzo miły człowiek, bardzo ciekawie się z nim rozmawiało, ale wszystko było podporządkowane temu, że uznawał, że ktoś jest wart coś dla Polski i warto w niego inwestować. No, a jak ktoś nie, to trzeba dokonać wyboru. Jak ja rozszedłem się z „Kontaktem” i znalazłem się bez środków jakichkolwiek wtedy do życia, tak z dnia na dzień, to on mi ufundował stypendium, które pozwoliło mi przetrwać do czasu, kiedy podjąłem pracę w Wolnej Europie. Na przykład jak uznawał, że do czegoś się nadaje, w związku z tym warto, żebym funkcjonował. ale np. z Herlinga-Grudzińskim to już były dużo bliższe kontakty, które później jeszcze utrzymywałem. On przyjeżdżał do Polski, tośmy się zawsze spotykali tutaj. Zresztą tydzień przed śmiercią go jeszcze widziałem. On przyjechał do Polski i nawet poprosił, żebym ja poprowadził, specjalnie jechałem, mieszkalem w Warszawie, on miał spotkanie w Krakowie, poprosił, żebym ja prowadził to spotkanie, to pojechałem to prowadzić. I potem myśmy się spotkali u Jurka Morawskiego, na takim pożegnaniu jego. Pojechał i umarł, gdzieś tydzień później. Byłem w Neapolu, to oczywiście go odwiedzałem. Z Kotem Jeleńskim, czyli Konstantym, bardzo dobrze żeśmy się znali. Z Józefem Czapskim. Bardzo dobrze znałem ludzi, to była duża, duży dystans wiekowy. Trudno powiedzieć było mówić o przyjaźniach, ale takie dobre relacje mieliśmy, naprawdę. Ale też w państwa domu, był takim miejscem, znów jak w Krakowie, gdzie ciągle ludzie się przetaczali. No tak. Podróżowali też... W naszym domu to przede wszystkim, no to myśmy tam siłą rzeczy, żyjąc w tym polskim getcie, to nasze miasteczko paryskie było radykalnie mniejsze niż Paryż. To było polskie miasteczko w Paryżu, polski Paryż. Ale przede wszystkim chodziło też, jak zaczęli z Polski, gdzieś tak od połowy lat 80-tych ludzie móc przyjeżdżać, no to przecież nie mieli pieniędzy, musieli gdzieś spać, a myśmy mieli mieszkanie. Ono było otwarte dla ludzi z Polski i bez przerwy ktoś u nas mieszkał. Ja pamiętam, to był chyba 1988 rok, jak myśmy postanowili liczyć dni bez gości. Naliczyliśmy kilkanaście dni w ciągu roku, bez gości. Ale to czasami mieszkało po pięć, sześć, siedem osób. Spali w śpiworach, podsuwali nam ludzi z Polski. To było takie... To było męczące, ale myśmy uznawali to za niejako wręcz obowiązek. Nas zresztą też, zanim żeśmy się jakoś tam osadzili w tym Paryżu, to też przecież nam pomagali Polacy. Nie tylko Polacy, Francuzi, ale Polacy również. Także to aż, opowiadać, kto u mnie mieszkał, to mnie śmiech teraz ogarnia pusty. I będąc w tym Paryżu, czy 1988 rok to jest ten punkt, kiedy pojawia się szansa, że są strajki w Polsce oczywiście, pojawia się szansa, że... świta wizja, że powrót do Polski jednak będzie wcześniej niż za 30 lat? No tak. Ja zacząłem o tym myśleć, ja zacząłem myśleć o tym jednak... Zacząłem myśleć o tym w momencie, jak zaczął się Okrągły Stół. To ja

zaczęłam myśleć, że to jest jednak szansa, że nastąpi zasadnicze przewartościowanie. Zresztą ja obserwowałam również to, co się dzieje w Rosji wtedy. Wtedy ta Rosja wyglądała bardzo interesująca, ponieważ ja znam rosyjski, to ja dość często robiłam dla Wolnej Europy różne materiały. Rosjan spotykałam, którzy przyjeżdżali z Rosji. No i rzeczywiście wtedy była ta „głasność”, otwartość, można było... Rzeczywiście się czuło, że coś się zmienia fundamentalnie. To otwierało nadzieję na to, że skoro w Rosji się zmienia, w Związku Sowieckim, no to i w Polsce też może. I dla mnie takim jednak zupełnie przełomowym momentem były wybory w czerwcu 1989 roku. Moja żona była mężem zaufania Solidarności, jednym z kilorga w tej ambasadzie. I to było takie niesamowite doświadczenie. Myśmy najpierw agitowali na zewnątrz z Sewkiem Blumsztajnem, tłumacząc ludziom. Zresztą oni się pytali, staliśmy pod jakimś tam transparentem, tłumacząc, jak należy głosować i skreślać, kogo skreślać, wszystkich skreślać, poza odpowiednimi. A potem już włączyłam do środka i to wręcz było takie, jak się tam widziało, jak się załamował ten system, w tej ambasadzie. Najpierw było wszystko rygorystyczne. To było śmieszne, bo najpierw oni, to była pierwsza wojna, którą stoczyli ci przedstawiciele Solidarności, czyli tej strony społecznej z władzami. Chodziło o to, jak można głosować, czym. Oni na początku domagali się, że tylko ważne paszporty. No i ci nasi przedstawiciele, z moją żoną włącznie, powiedzieli, że: „mowy nie ma, że albo będą przyjmowane inne dokumenty, że ktoś jest Polakiem, albo oni zrywają to i ogłaszają, że to skandal”. No i pękło. Potem zaczęli już dopuszczać wszystkie dokumenty, przecież nie wiedzieli, które... Najpierw były nieważne paszporty, potem były inne jakieś, potem w ogóle nie wiadomo jakie paszporty. A pamiętam, że na końcu przyszła jakaś pani starsza z Kenkartą, czyli z dokumentem władz okupacyjnych niemieckich w Polsce i głosowała na tą kartę. Ale to mówię, najpierw ci goryle tacy byli groźni, nie pozwalali się za bardzo przemieszczać, a potem i oni zaczęli tak zgłupieć i można było chodzić po tej ambasadzie. Pierwszy raz w życiu po niej chodziłam. No i potem, jak się okazało, że w ogóle tam wygrała Solidarność w sposób jakiś nieprawdopodobny, z czego wynikało wręcz, że kilku pracowników ambasady głosowało na nią, bo tam jest zupełnie... Ci, którzy głosowali na komunę, to wychodziło, że było ich mniej niż pracowników ambasady, więc to już pokazywało. Ja byłam naprawdę przekonana, że to się zawali. W ogóle inaczej to sobie wyobrażałam. Myślałam, że wtedy były wolne wybory do Senatu. Myślałam, że będzie taka sytuacja, że Senat przejmie rolę, choć on formalnie nie miał uprawnień, ale to nie ma znaczenia. W takich przełomowych momentach może stać się. Później okazało się, że to wszystko poszło inaczej. Ale rzeczywiście niedługo potem był rząd Mazowieckiego i wtedy wiedzieliśmy, że wracamy do Polski. Ale jeszcze w Paryżu, w 1989 roku spotkał się Pan, czy współorganizował pobyt Lecha Wałęsy? Nie, nie organizowałam pobytu, ja go „pokrywałam”, jak to się mówi, bo to jest taki za angielskim, francuskim... Czyli po prostu byłem ze strony tej Wolnej Europy, łączyłam tam, gdzie on występował i potem z tego robiłam audycję. No i byłem... Bardzo tam zabawne sceny były. Ja pamiętam, najzabawniejsza to była scena, gdzie on w sali, taki ogromnej sali paryskiej, wtedy chyba nie wiem czy nie największej z takich publicznych, gdzie było jego spotkanie. Wszyscy przyszli dziennikarze, z pism regionalnych, nie tylko z pism, z radiostacji, z wszystkiego co się dało, wszyscy przeszli. W sali siedział Wałęsa, obok niego Geremek, no i tłumacze. Jak to zwykle, konferencja prasowa, że prowadzący dopuszcza serię pytań, a dziennikarze wytresowani wiedzą, że jak z karabinów maszynowych walą je. I robi się przerwę i daje się odpowiedzi. No i poleciało te ileś pytań, przetłumaczyli Wałęsę ci równolegli tłumacze i Wałęsa zaczyna odpowiadać. W takim najlepszym wałęsizm. Nic nie można zrozumieć. I to są tłumacze, ci symultaniczni, najlepsi. Oni nie tłumaczą, bo nic nie rozumieją, nie wiedzą co tłumaczyć, nie rozumieją co on mówi. Nikt nie wie. Ja też nie rozumiem co on mówi, tylko rozbawiony słucham i myślę co będzie dalej. A tam zaczynają się jakieś syki, dlaczego ci tłumacze nie tłumaczą? Mają tłumacza, a nie tłumaczą. I w tym momencie odsuwa takim gestem, prawie niezauwa-

żalnym Geremek tych tłumaczy, wysuwa się na plan pierwszy i pięknie zaczyna odpowiadać na te wszystkie pytania. Rzeczowo, a na dodatek tak, jak chcą to usłyszeć ci Francuzi. Dokładnie. No i oni tacy zadowoleni, Wałęsa też taki rozpromieniony, on czuje salę i w związku z tym tak to się potem toczy. Wałęsa bredzi. Nawet nie można powiedzieć, że bredzi, coś bełkocze. A potem Geremek odpowiada bardzo pięknie po francusku to, co chcą usłyszeć ci pytający. A ja siedzę i się zastanawiam, czy jest w tym jakieś fałszerstwo? Bo jakby nie tłumaczyć Wałęsę, dowolne tłumaczenie go na język, który jest semantyczny będzie odbiegało od tego, bo to co mówi jest nie semantyczne. Więc może to nie jest żadne fałszerstwo? Było to zabawne. Potem widziałem jeszcze inną scenę, ale było mniej przyjemne. To było z kolei u pallotynów. Było spotkanie tylko z Polakami, w takiej dużej sali, mieli dwie sale, taką mniejszą i taką dużą. Podziemia tego ich kościoła i Wałęsa tam jest. Tam już po polsku to już gada jakoś w miarę sprawnie. I Giedroyc przyjechał, a on wtedy już w ogóle od lat już nie przyjeżdżał do Paryża. Przyjechał z Zosią Hertzową, siedzieli tam przy osobnym stoliku. I Wałęsa skończył pytania i potem ktoś: „Panie przewodniczący, chcieliśmy do Pana redaktora”. Podprowadzili go do Giedroycia. „A, to Pan! Tak, słyszałem, słyszałem. Ale co pan teraz, co pan pozwala?...”. U niego [Giedroycia] różne rzeczy były, Wyszkowski pisał o Okrągłym Stole, różne były takie, wielogłos był. „Co Pan sobie pozwala...”. I macha mu łapą przed nosem. „Co Pan teraz robi? Sabotaż robi?”. Ja i tak mówię bardziej składnie. To było mniej składnie, ale mniej więcej o to chodziło. I macha tak łapą przed nosem Giedroycia, A Giedroyc tak stoi z kamienną twarzą. „No, nie, ja wiem Pan...”. Pomian go tak ciągnie trochę za rękaw, ktoś jeszcze, nie pamiętam, Geremek ciągnie za rękaw, Wałęsę, coś mu tam szepcze do ucha. On mówi: „tak, tak, wiem, te książki, czytaliśmy, czytaliśmy książki. Tak, tak, to ważne, to ma znaczenie. A teraz co Pan dalej!?”. No i tak ze trzy takie odśłony, takie same, tzn. „Tak, tak, te książki, tak, tak...”. I wreszcie Pomian pyta Giedroycia: „No, Panie redaktorze, co Pan sądzi, o Panie przewodniczącym?”. „Pajac” i odwraca się... Tylko tyle. Jedno słowo.